



Łambinowski Rocznik Muzealny

JEŃCY WOJENNI W LATACH
II WOJNY ŚWIATOWEJ

Tom 47

CENTRALNE MUZEUM
JEŃCÓW WOJENNYCH

OPOLE 2024

Komitety Redakcyjny

Anna Czerner, Jan Daniluk, Bartosz Janczak,
Danuta Kisielewicz, Renata Kobylarz-Buła, Joanna Lusek,
Witold Mędykowski, Tomasz Przerwa,
Violetta Rezler-Wasielewska (przewodnicząca),
Piotr Stanek (sekretarz), Czesław Wawrzyniak

Recenzent tomu

Michał Pawleta

Redaktor naczelna

Violetta Rezler-Wasielewska

Redaktorzy tomu

Violetta Rezler-Wasielewska, Piotr Stanek, Kamil Weber

Redakcja i korekta

Maria Szwed

Tłumaczenie streszczeń

Jacek Jędrzejowski (język angielski)

Skład

Janina Drozdowska

Projekt okładki, układ typograficzny

Studio Widok

© Copyright by Centralne Muzeum Jeńców Wojennych

Adres redakcji

45-017 Opole, ul. Minorytów 3
Tel./fax 77 454 78 72, 453 92 16
www.cmjw.pl
e-mail: redakcja@cmjw.pl

ISSN 0137-5199

Nakład 300 egz., objętość: 17,00 ark. druk.

Druk: Wydawnictwo i Drukarnia Świętego Krzyża w Opolu

Odkrywanie mojego dziadka

Wstęp

Zawsze żałowałem, że dzieciństwo spędziłem bez dziadków. Wprawdzie miałem babcię, ale dla chłopca to nie jest to samo. Na moje pytania o swoich ojców rodzice odpowiadali, że zginęli w czasie wojny. Do pewnego wieku ta informacja mi wystarczała. Później dowiedziałem się, że ojciec mamy został najprawdopodobniej rozstrzelany przez Niemców w 1944 r. Tadeusz Przyłęcki był dowódcą podobowodu Armii Krajowej w Białobrzegach, w powiecie radomskim. Po aresztowaniu przez gestapo na skutek donosu, ślad po nim zaginął. Jeśli chodzi o drugiego dziadka, ze strony ojca, to wiedziałem tylko, że był oficerem i podzielił los tysięcy innych wojskowych, którzy po wojnie obronnej 1939 r. nigdy nie wrócili do domu.

Wiedziałem także, że część mojej rodziny ze strony ojca po wojnie trafiła do Anglii. Była tam przede wszystkim siostra mojej babci, ciotka Niuta z mężem, przedwojennym dyplomatą. Wuj Witold do 1939 r. był polskim konsulem w Mińsku w ZSRR, później pracował w polskich poselstwach w Teheranie i Palestynie, a po wojnie osiadł w Londynie. W Anglii mieszkała też ciotka Ania. O niej niczego bliższego nie wiedziałem, ale w wieku kilku lat nie specjalnie mnie to interesowało. Musiałem pisać do niej listy. Dlaczego tylko do niej, a do drugiej ciotki nie, nie wiedziałem i specjalnie się nad tym nie zastanawiałem. Skoro ojciec prosił, to pisałem – o tym co w szkole, na koloniach i innych rzeczach tego typu. Dostawałem też bardzo miłe odpowiedzi pisane bardzo ładnym, starannym charakterem pisma. Ciotka Ania zawsze pamiętała o moich urodzinach i imieninach. Część tej korespondencji się zachowała.

Na początku lat sześćdziesiątych mój ojciec, wybitny specjalista od projektowania odlewni, wyjechał na pół roku do Indii. W tamtych czasach taki wyjazd z reguły oznaczał istotną poprawę sytuacji materialnej. W naszym przypadku wyraziło się to zakupem pierwszego samochodu – Škody Octavii. Mając samochód można było podróżować. Rodzice wykorzystali to i po wysłaniu dzieci, tj. mnie i młodszej siostry, na kolonie wybrali się ze znajomymi na wakacje do Włoch. Wrócili w przepisowym czasie, zdając w ten swoisty sposób test lojalności. W tamtych czasach

władze obawiały się przede wszystkim tego, że jadący na Zachód nie zechcą wrócić do, jak się wtedy mówiło, ludowej Ojczyzny.

Ośmieleni tym pierwszym zezwoleniem na wyjazd za granicę rodzice zdecydowali, że w czasie najbliższych wakacji pojedziemy odwiedzić rodzinę w Anglii. Tym razem wszyscy – dzieci też. Dostaliśmy paszporty i w lecie 1964 r. ruszyliśmy w drogę. Samochód załadowany aż po bagażnik na dachu – najwięcej miejsca zajmowały namiot z wyposażeniem, zapasowe części samochodowe (na wypadek awarii) oraz konserwy i inne wiktuały, które miały za zadanie ograniczyć wydatki w twardej walucie. Trasa wiodła przez Poznań, Berlin, Ostendę do Londynu. Tam mieliśmy się zatrzymać u ciotki Niuty, a później udać się do Bedford, gdzie mieszkała ciotka Ania.

Pierwszy postój ojciec zarządził jeszcze przed Poznaniem. W latach sześćdziesiątych nie było w Polsce przydrożnych zajazdów, więc zatrzymaliśmy się gdzieś w lesie. Rozłożyliśmy koc i jedliśmy przywiezione ze sobą kanapki. Ten piknik będę pamiętał do końca życia. W pewnym momencie ojciec spojrzał porozumiewawczo na mamę i zapytał nas: „Dzieci, czy wiecie, kogo jedziemy odwiedzić w Anglii?”. Oczywiście, że wiedzieliśmy – dwie ciotki i jednego wujka. I wtedy gruchnęła bomba – dowiedzieliśmy się, że nasza ciotka Ania to w rzeczywistości nie żadna ciotka, a nasz dziadek Adam Daniłowicz. Jednocześnie przykazano nam, żeby nikomu poza rodziną o tym nie mówić. Dla dziesięciolatka i jego ośmioletniej siostry ta informacja była prawdziwym szokiem. Posypał się grad pytań.

Pierwsze dotyczyło naturalnie tego, jak to się stało, że dziadek, który miał zginąć na wojnie, mieszka w Anglii. I wtedy dowiedziałem się, że był wzięty przez Niemców do niewoli i spędził wojnę w obozie jenieckim. Po wojnie nie wrócił do Polski, tylko pojechał do Anglii i tam został. Ale dlaczego nie wrócił? Okazało się, że miał na pieńku z komunistami jeszcze z czasów rewolucji bolszewickiej i nie chciał ryzykować. Dużo później ustaliłem, że w 1918 r. był przez nich więziony trzy miesiące przez co mocno podupadł na zdrowiu.

Ale dlaczego rodzice ukrywali przed nami, że dziadek żyje? W latach pięćdziesiątych, zwłaszcza na początku tej dekady, lepiej było nie mieć tak bliskich krewnych na Zachodzie. Dlatego we wszystkich ankietach personalnych i życiorysach, których pisanie było w tamtych czasach standardem, tata podawał, że jego ojciec zginął w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach w czasie wojny 1939 r. Po przełomie październikowym 1956 r. ojciec w Anglii zapewne nie był już tak dużym problemem, ale nigdy nie wiadomo. A w dodatku trzeba by wyjaśniać, dlaczego wcześniej pisało się nieprawdę. Małe dzieci, jak wiadomo, mogą się wygadać przed kolegami, że mają dziadka na Zachodzie i problem gotowy. Tak więc rodzice konsekwentnie trzymali się wersji ze śmiercią na wojnie, a moja siostra i ja korespondowaliśmy z ciotką Anią.

Ciekawy jest finał tej historii. Dwa lata po powrocie z angielskich wakacji, w 1966 r. tata dostał telegram z Anglii wzywający go do natychmiastowego przyjazdu do umierającego ojca. Załączył go do wniosku o paszport. Dostał go, o dziwo,

w ciągu dwóch czy trzech dni. I nikt go nawet nie zapytał, że przecież według wcześniejszych oświadczeń jego ojciec zginął na wojnie! Dzięki temu zdążył jeszcze pożegnać się dziadkiem.

Po kilkudniowym pobycie u wujostwa w Londynie pojechaliśmy do Bedford. Zatrzymaliśmy się w istniejącym do dziś Klubie Polskim, w którym dziadek mieszkał i pracował. Niestety moja wizyta u niego trwała zaledwie kilka dni. Wkrótce po przyjeździe okazało się, że jestem chory na żółtaczkę zakaźną, którą najwyraźniej zaraziłem się na koloniach, jeszcze przed wyjazdem. W trybie pilnym trafiłem do szpitala w Nottingham, gdzie spędziłem dwa tygodnie.

Jak zapamiętałem dziadka? Po 60 latach szczegóły się zacierają i w pamięci zostaje tylko kilka drobiazgów. Zapamiętałem go jako bardzo rosnącego mężczyznę z dużym wąsem. Sądząc po posturze, można by powiedzieć, że dziadek Adam był typowym Żmudzinem – z tamtych bowiem stron wywodzi się ta część mojej rodziny. Był bardzo ciepły i opiekuńczy. Palił papierosy marki Capstan – z jakiegoś powodu mam w pamięci ich niebieskie pudełka. Pamiętam też egzemplarze wydawanych w Londynie czasopism pod tytułem „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza”, które wtedy były dla mnie ciekawą lekturą. Niektóre artykułiki wbiły mi się w pamięć. Dzisiaj, jak o nich myślę, to mam wrażenie, że nie były one zbyt wysokich lotów. Ale ambitne teksty w tamtym czasie nie były potrzebne czytelnikom, z których wielu było prostymi żołnierzami. Te publikacje miały na celu podtrzymanie ich na duchu i pomóc tym rozbitkom życiowym, do których należał także mój dziadek, odnaleźć się w zupełnie nowym dla nich świecie.

Niestety, moje wakacyjne spotkanie z dziadkiem w Anglii było pierwszym i ostatnim. Rok po jego śmierci w 1966 r. pojechałem z ojcem do Bedford, aby uporządkować sprawy spadkowe. W polskim kościele tata zamówił mszę za duszę dziadka. Odwiedziliśmy też jego grób na miejscowym cmentarzu, na którym tata umieścił był skromny napis: „Adam Daniłowicz Major Wojsk Polskich”. Do Warszawy przywieźliśmy trochę pamiątek, zdjęć i dokumentów. Przez wiele lat leżały w kilku małych pudełkach i czekały, aż ktoś się nimi zainteresuje. To miało jednak przyjść dużo później – jako kilkunastoletniego chłopca interesowały mnie głównie orzelki w koronie, czerwone naszywki z wyszywanym srebrną nicią napisem POLAND, *battle dress* i kilka innych elementów odzieży wojskowej.

Studia poza domem, emigracja, a wreszcie powrót do Polski i intensywna praca zawodowa, a także życie rodzinne nie zostawiały dużo czasu na badanie genealogiczne. Wyjazdy służbowe na Litwę spowodowały jednak, że postanowiłem zainteresować się bliżej historią litewskiej, a właściwie żmudzkiej części mojej rodziny, czyli przodkami dziadka Adama. Przy pomocy lokalnej specjalistki udało mi się ustalić jej genealogię. Pierwszym znanym z imienia i nazwiska jej przedstawicielem był Łukasz Daniłowicz, urodzony najprawdopodobniej ok. 1600 r. O jego istnieniu możemy wnioskować z imienia odojcowskiego pierwszego przedstawiciela mojej rodziny udokumentowanego w wywodzie szlachectwa z 1803 r. Ów „protoplasta

rodu” nazywał się Gawrił (Gabriel) Łukaszewicz Daniłowicz. A zatem jego ojciec miał na imię Łukasz.

Na dalsze badania przyszedł czas później. Ponieważ dziadek był oficerem, zwróciłem się do Wojskowego Biura Historycznego z zapytaniem o informacje na jego temat. Na ich podstawie udało mi się odtworzyć karierę wojskową dziadka Adama.

Pierwsza wojna światowa i wojna o granice

Adam Daniłowicz urodził się 8 września (25 sierpnia starego stylu) 1894 r., w dworze Dyrwiany, w parafii Łukniki (lit. Luoke), w powiecie szawelskim na Żmudzi (Litwa). Na chrzcie w tamtejszym kościele parafialnym jako ojciec chrzestny stanął przedstawiciel zaprzyjaźnionej rodziny, Jan Piłsudski, późniejszy działacz państwowy II Rzeczypospolitej i brat marszałka Józefa Piłsudskiego. W domu Adam mówił po polsku, w szkole po rosyjsku, a z mieszkańcami okolicznych wsi rozmawiał po litewsku.

W roku 1915 wstąpił do armii rosyjskiej jako jednoroczny „wolnowstępujący ochotnik szeregowiec” (ros. *вольноопределяющийся*). Później ukończył szkołę podoficerską, a następnie Szkołę Oficerów Piechoty w Peterhofie. Dostał przydział do 8. Syberyjskiego Pułku Strzelców jako dowódca baonu. Szybko awansował na porucznika, a następnie na podkapitana (sztabskapitana). Wraz ze swoim pułkiem brał udział w drugiej bitwie o Kowel w ramach tzw. operacji Brusilowa. Była to największa ofensywa Armii Imperium Rosyjskiego przeprowadzona na froncie wschodnim przeciwko armiom państw centralnych. W jej trakcie armia rosyjska straciła prawie milion osób. W czasie służby w wojsku rosyjskim dziadek zostało odznaczony Orderem św. Stanisława III stopnia ze wstążką oraz Orderem św. Anny III stopnia z mieczami i wstążką.

W październiku 1917 r., a więc po wybuchu rewolucji bolszewickiej, sztabskapitan Daniłowicz wyjechał do organizujących się w Rosji polskich formacji wojskowych i dołączył do 9. Pułku Strzelców Polskich 3. Dywizji Strzelców I Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego. Korpus został sformowany na ziemiach zaboru rosyjskiego, znajdujących się pod władzą Rządu Tymczasowego Rosji, z żołnierzy narodowości polskiej z armii rosyjskiej służących na froncie zachodnim i froncie północnym (obecnie Białoruś, Polesie, Litwa, Łotwa), z inicjatywy Naczelnego Polskiego Komitetu Wojskowego.

Rozkazem dowódcy 3. Dywizji Strzelców gen. Józefa Leśniewskiego, Adam Daniłowicz został odkomenderowany do Polskiego Komitetu Wykonawczego XII Armii Rosyjskiej. Powierzono mu zadanie zbierania i odsyłania do I Korpusu Polskiego żołnierzy z rozformowanego w Moskwie pułku polskiego oraz innych polskich żołnierzy, którzy służyli w armii rosyjskiej lub znajdowali się w Rosji jako jeńcy z armii niemieckiej lub austriackiej. Po rozformowaniu korpusu gen. J. Dowbor-Muśnickiego Daniłowicz zamierzał udać się do polskich formacji tworzących się na Ukrainie.

Plan ten pokrzyżowało aresztowanie przez bolszewików pod zarzutem szpiegostwa i werbowania do polskich organizacji wojskowych. W więzieniu w Rybińsku w guberni jarosławskiej spędził trzy miesiące. W roku 1925 za działalność na rzecz „organizacji Wojska Polskiego na terenie byłej Rosji w roku 1917–1918” Naczelny Polski Komitet Wojskowy nadał mu prawo noszenia swojej odznaki honorowej.

Po wyjściu z więzienia Adam Daniłowicz wyjechał z Rosji. Przedostał się przez granicę i w styczniu 1919 r. wstąpił do pierwszego napotkanego oddziału polskiego – samoobrony gen. Władysława Wejtka, tzw. Legii Rycerskiej (Oficerskiej). Legion ten był utworzony przez Naczelny Polski Komitet Wojskowy w porozumieniu z dowódcą I Korpusu Polskiego i stanowił rezerwę oficerów chwilowo bez stanowisk. Był też zwartym oddziałem bojowym.

Adam Daniłowicz przyłączył się do Legii pięć dni po wycofaniu się Niemców i Litwinów z Wilna i objęciu władzy w mieście przez Polaków. Kilka dni później do miasta zbliżyły się jednak oddziały bolszewickie i zaczęły je ostrzeliwać. Niemcy zgodzili się przepuścić żołnierzy polskich na obszar wyzwolonej już Polski po uprzednim złożeniu przez nich broni (która miała im być później zwrócona). Nie wszystkie jednostki dały się jednak rozbroić. Pułk ułanów, mający wsparcie jednego z oddziałów piechoty, postanowił przebijać się z bronią w rękę. Marsz okazał się długi i trudny, obfitował w walki. Zakończył się jednak sukcesem. Adam Daniłowicz brał w nim udział. Z powodu wcześniejszych ran, które otworzyły się na skutek forsownego marszu został skierowany do szpitala wojskowego Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie. Po jego opuszczeniu złożył wniosek o formalne przyjęcie do Wojska Polskiego.

W roku 1919 A. Daniłowicza przyjęto do Wojska Polskiego ze stopniem porucznika, otrzymał przydział do Zarządu Składu Artylerii m.st. Warszawy. Bardzo szybko jednak został oddelegowany z powrotem na Litwę, gdzie właśnie rozpoczęła się tzw. polsko-litewska wojna o granicę. Objął stanowisko komendanta Legii Oficerskiej na stacji kontrolnej w Jewiu. Stacja ta znajdowała się na samej linii demarkacyjnej polsko-litewskiej i jako leżąca na głównej arterii komunikacyjnej pomiędzy Wilnem i Kownem była traktowana jako jedna z trudniejszych placówek granicznych. Według opinii wydanej przez przełożonego por. A. Daniłowicza, załoga stacji niejednokrotnie „zmuszona była z bronią w rękę bronić swoich praw przed grasującymi bandami”, a on sam wykazał „należytą energię, zimną krew, odwagę i bezwzględną uczciwość”¹.

Po zajęciu Jewia przez wojska litewskie oddział wycofał się do Grodna. W jego trakcie por. A. Daniłowicz został kontuzjowany i nie brał udziału w dalszych walkach. Po wyleczeniu ran wyjechał do Warszawy. Jego strony ojczyście zostały po litewskiej stronie granicy. Dla polskiego oficera i uczestnika wojny polsko-litewskiej droga powrotu była zamknięta.

1 Zaświadczenie b. szefa Oddz. II Dow. 7. Armii mjr. Mariana Kościółkowskiego (w momencie wydawania zaświadczenia posła na Sejm), oryginał w posiadaniu autora.

Wojna obronna 1939 r. i niewola

Po zakończeniu wojny o granice, dziadek Adam osiadł w Warszawie. Przez pewien czas pozostał jeszcze w wojsku, potem przeszedł do cywila. Przedtem jeszcze awansowano go na kapitana. Założył rodzinę – ożenił się ze Stefanią z Kurdwanowskich. Mieszkali w Warszawie, gdzie urodziło się ich dwóch synów – Olgierd i Leszek, mój ojciec.

Przez cały okres pobytu w Warszawie bardzo ubolewał nad brakiem kontaktu z rodziną – matką i rodzeństwem – na Litwie. Wynikało to z tego, że do 1938 r. Polska i Litwa nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych, wskutek czego granica między nimi była zamknięta.

Do wojska A. Daniłowicz trafił ponownie w 1939 r. w ramach mobilizacji. Otrzymał przydział do IX Korpusu, którego bazą była twierdza w Brześciu nad Bugiem, jako dowódca kompanii parkowej w Samodzielnej Grupie Operacyjnej „Narew” gen. Czesława Młot-Fijałkowskiego. Grupa ta została rozbita przez uderzenie niemieckie 5 września. Po tej klęsce kpt. A. Daniłowicz był początkowo dowódcą samodzielnego oddziału stworzonego z kompanii parkowej, plutonu uzbrojenia rozbitków różnych oddziałów i luźno spotykanych żołnierzy. Oddział ten dołączył pod koniec września do Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” gen. Franciszka Kleeberga. W jej składzie brał udział w bitwie pod Kockiem (2–6 października 1939 r.). Wśród pamiątek po dziadku zachował się ołówkiem pisany notatnik z okresu walk w Samodzielnej Grupie Operacyjnej „Polesie”. Dzięki niemu można szczegółowo poznać jego szlak bojowy. Aż trudno uwierzyć, że notatnik ten dziadek przechował przez cały okres niewoli i lata powojenne.

Po kapitulacji 6 października 1939 r. kpt. A. Daniłowicz wraz z innymi oficerami został przewieziony do Oflagu VII A Murnau w Górnej Bawarii, niedaleko Monachium. Obóz ten pod względem liczebności jeńców był jednym z największych, przewyższał go jedynie Oflag II C Woldenberg. Ponad 5 tys. osób przetrzymywanych było w budynkach koszarowych na powierzchni 7,7 ha. Obóz swoją liczebnością górował zdecydowanie nad położonym w pobliżu miasteczkiem Murnau, które liczyło ok. 4 tys. mieszkańców.

Jeden z moich przyjaciół, którego ojciec był również jeńcem w Murnau, zwrócił niedawno moją uwagę na wydane w latach dziewięćdziesiątych w Londynie wspomnienia obozowe, w których wzmiankowany jest mój dziadek. Ich autor, kpt. Tadeusz Kazimierz Gruszka, tak opisuje kpt. Daniłowicza:

Obóz był galerią różnych typów, polem do popisu dla psychologa. W mojej sali było dwóch Litwinów, weteranów wojny 1920 r. [w rzeczywistości dziadek w wojnie bolszewickiej nie brał udziału – przyp. W.D.]. Jeden z nich, kpt. Daniłowicz, który podgałał sobie bokobrody [raczej chodziło o wąsy – na żadnym zdjęciu A.D. nie ma bokobrodów, ma natomiast sumiaste wąsy – przyp. W.D.] do znaków zapytania, mówił z szybkością dwóch słów na minutę. Z taką samą szybkością poruszały się jego szczęki przy jedzeniu.

Tych niewinnych cech Daniłowicza nie mógł znieść kpt. Pasternakiewicz, który albo zatykał sobie uszy, albo zamykał oczy – w zależności od tego, jaką czynność wykonywał flegmatyczny Litwin. Pasternakiewicz tak się tym irytował, że czasami dostawał rozstroju żołądka. Ale wytrzymali ze sobą do końca².

Poza tym krótkim wspomnieniem kpt. Gruszki niewiele wiadomo o pobycie kpt. Daniłowicza w oflagu. Z zachowanych dwóch listów od syna, mojego ojca Leszka, wynika, że prowadził korespondencję z rodziną w Polsce. Były to tzw. listy jenieckie, pisane na specjalnych listowych formularzach zwrotnych (*Rückantwortbriefe*) przysyłanych przez jeńców rodzinom. Ich celem było wyznaczenie maksymalnej objętości listu.



Mapa fizyczna części Bawarii, wykonana przez kpt. Adama Daniłowicza w Oflagu VII A Murnau
Źródło: CMJW, Muzealia, nr inw. CMJW I-2-125

2 T.K. Gruszka, *W Murnau*, Hove 1994, s. 23.

Można też podejrzewać, że dziadek współpracował z działającą w oflagu Murnau siecią konspiracyjną, a w szczególności z komórką wywiadu. Pomagała ona m.in. grupom organizującym ucieczki, dostarczając im mapy³. O możliwej współpracy świadczą dwie, odrębnie, niezwykle starannie przygotowane mapy (w tym jedna w kolorze) znajdujące się wśród pamiątek po dziadku.

Od czasu przyjazdu mojego ojca z Anglii w 1967 r. pamiątki po dziadku Adamie leżały w domu moich rodziców w pudełkach. Powstało pytanie, co z nimi zrobić? Początkowo chcieliśmy to wszystko zatrzymać „dla przyszłych pokoleń”. Ale, jak wiadomo, papier jest bardzo nietrwały i wymaga konserwacji. Może lepiej byłoby oddać je gdzieś, gdzie byłyby nie tylko przechowywane w należytych warunkach, ale także mogłyby być wykorzystane w badaniach naukowych? I tak, po rodzinnej dyskusji, mój ojciec postanowił przekazać pamiątki po dziadku do muzeum. Ale którego? Początkowo sądziliśmy, że będzie to muzeum na terenie oflagu, w którym przebywał. Szybko okazało się jednak, że takiego muzeum nie ma, a o tym, że w Murnau był obóz przypomina jedynie skromna tablica na ścianie niemieckich koszar, które mieszczą się dzisiaj w budynkach byłego obozu.



Jeniecki znak tożsamości nr 16152 należący do kpt. Adama Daniłowicza
Źródło CMJW, Muzealia, nr inw. CMJW II-4-84

Zacząłem więc poszukiwać innego muzeum gromadzącego pamiątki po jeńcach wojennych. Tak trafiłem do Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych, bez wątplenia najlepszego miejsca dla naszych pamiątek. Trafiły tam:

3 W. Iwanowski, *Konspiracja w Oflagu VII A w Murnau*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1981, nr 4, s. 175–191.

- 1) metalowy numer jeniecki (blaszka jeniecka – 16152),
- 2) jeniecka karta pocztowa wysłana przez Jadwigę Okońską (wspomnianą wcześniej ciotkę Niutę, szwagierkę dziadka) z Palestyny,
- 3) dwa listy Adama Daniłowicza do syna, Leszka Daniłowicza z 1942 i 1944 r.,
- 4) ręcznie wykonana mapa okolic Monachium z nazwami miejscowości i siecią dróg, w kolorze, w skali 1:500 000,
- 5) ręcznie wykonana fizyczna mapa okolic Murnau w skali 1:50 000,
- 6) grupowa fotografia oficerów polskich oflagu w Murnau, wśród których znajduje się kpt. Adam Daniłowicz.

Po wojnie

Oflag w Murnau został wyzwolony przez armię amerykańską 29 kwietnia 1945 r. Dziadek Adam przebywał tam jeszcze przez cztery miesiące. Opuścił go dopiero po wstąpieniu do Kompanii Wartowniczej w służbie amerykańskiej. Zasadniczym zajęciem tych oddziałów było pilnowanie niemieckich jeńców wojennych w obozach i podczas wykonywania pracy, a także konwojowanie ich w drodze między obozem



a miejscem pracy. Część oddziałów pełniła również służbę przy składach i magazynach. Ponieważ potrzeby kadrowe były duże, władze amerykańskie zwróciły się do dowództwa Obozu Polskich Oficerów w Murnau, prosząc o przysłanie uzupełnień. Oficerowie, których stamtąd przysłano tworzyli ok. 80 proc. całości kadry. Dziadek Adam był w pierwszej z dwóch grup wysłanych w tym celu z Murnau. Liczyła ona 352 osoby i przybyła do bazy amerykańskiej 12 lipca 1945 r.⁴

Kpt. Adam Daniłowicz w okresie służby w batalionach wartowniczych przy armii amerykańskiej, koniec 1945 r.
Źródło: Archiwum Rodzinne

Po odbyciu kursu służby wartowniczej przy armii amerykańskiej w Nancy, kpt. A. Daniłowicz został dowódcą 1. kompanii w Polskim Batalionie Wartowniczym w Romilly. Następnie został skierowany do Polskiej Sekcji Łącznikowej w Reims,

4 C. Brzoza, *Polskie oddziały wartownicze przy armii amerykańskiej we Francji (1944–1947)*, „Państwo i Społeczeństwo” 2001, nr 1, s. 165.

a potem został dowódcą 2. Kompanii w Polskim Wartowniczym Obozie Szkolnym. Kolejne przydziały to: dowódca samodzielnej kompanii w samodzielnej placówce „San Antonio”; dowódca obozu i batalionu wartowniczego w Mourmelon-le-Grand (k. Reims); oraz dowódca obozu „Philadelphia”. W maju 1946 r. został awansowany na majora w służbie amerykańskiej.

W służbie amerykańskiej dziadek Adam został prawie dokładnie rok. Później wyjechał do Anglii. Tamtejszy *Identity Card* otrzymał 4 listopada 1946 r. Jako jego adres podano Polish Camp, Tilstock, Whitchurch, Salon. A więc znów obóz. Był on zorganizowany na miejscu niepotrzebnego już lotniska RAF w Tilstock. Jako mieszkania dla polskich rodzin wojskowych służyły porzucone budynki, porozerzucane po terenie, niektóre oddalone o mile od głównego pasa startowego. Były to głównie budynki z blachy falistej tzw. baraki Nissena (*Nissen huts*). Wspólne umywalnie i kilka bloków betonowych⁵.

W lipcu 1949 r. Adam Daniłowicz przeniósł się do Polish Hostel w Mepal k. Cambridge. Kolejne dwa stemple to już adresy w Cambridge. Wybrał to miasto, ponieważ mieszkało tam wywodzące się również ze Żmudzi małżeństwo Billewiczów, z którą to rodzina dziadka była zaprzyjaźniona już od dawnych lat. Ojciec chrzestny dziadka, Jan Piłsudski, był synem Józefa i Marii z Billewiczów. W roku 1958 A. Daniłowicz przeprowadził się do Bedford. Zamieszkał w do dziś działającym Klubie Polskim przy 33 Alexandra Road. Prowadził bardzo skromne życie. Od rodziców dowiedziałem się, że wszystkie zarobione pieniądze oszczędzał dla nich. Zmarł na raka płuc 7 listopada 1966 r. w szpitalu w Bedford.

Powojenne losy dziadka Adama udało mi się ustalić na podstawie różnych dokumentów znalezionych w jego rzeczach. Wśród nich jest wiele zdjęć, zwłaszcza z okresu jego służby w oddziałach wartowniczych.

Zakończenie

Powyższe wspomnienie pokazuje, jak wiele można się dowiedzieć o swoich przodkach, przeszukując rodzinne dokumenty, archiwa czy nawet literaturę historyczną i wspomnienia. Miałem ogromne szczęście, że udało mi się spotkać z dziadkiem Adamem Daniłowiczem w 1964 r. Niestety, miałem wtedy tylko dziesięć lat i niespecjalnie interesowałem się jego historią. Najważniejsze było to, że miałem dziadka, do którego mogłem się przytulić, i który kupował mi prezenty. Dziś oczywiście zadałbym mu masę pytań. Zamiast tego musiałem polegać na dokumentach, rejestrach i zdjęciach. Ale jestem zadowolony z tego, że chociaż w najbardziej ogólnym zarysie udało mi się odtworzyć jego drogę życiową. Dzięki temu jest mi znacznie bliższy.

5 <https://www.polishresettlementcampsintheuk.co.uk/tilstock1.html> [dostęp: 9 II 2025 r.].